

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 41.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 25 czerwca 1860.
7 lipca
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie
rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie
rsr. 3 — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Łukasz Opaliński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Nadgospłaska biesiada, podanie ludowe. — Krzemieniec (z drzeworytem). — Pałacyk w Poddebicach (z drzeworytem). — Szwajcarska dolina w Warszawie (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Ustęp z listu Antoniego Nowosielskiego. — Telegraf naokoło świata (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Łukasz Opaliński.

Ród Opalińskich dawny i dobrze zasłużony rzeczypospolitej: pierwotnie pisali się z *Bnina*, zanim przybrali nazwisko Opalińskich w XV wieku. Pradziad Łukasza, Piotr kasztelan gnieźnieński, słynny z nauki i powagi, kiedy panowie polscy, przekonani o pieśczośliwym i niekrólewskim wychowaniu młodego Zygmunta Augusta królewicza przez matkę Bonę, prosili Zygmunta I, aby synowi dał właściwe i odpowiednie przyszłemu stanowisku wykształcenie, przeznaczony został na przewodnika i nauczyciela królewicza. Jakoż kasztelan gnieźnieński, usunawszy z pod oka Bony młodego Augusta, potrafił wpoić w niego te piękne zasady, tę myśl dobra rzeczypospolitej, któremi na tronie później zajaśniał.

Łukasz Opaliński, którego wizerunek dajemy ze sztychu sławnego Falka z r. 1653, był synem Andrzeja marszałka wielkiego koronnego i Katarzyny Kościeleckiej. Po starannym w domu wychowaniu, zwyczajem owego czasu, wysłany został za granicę, dla ostatecznego wykształcenia. Kiedy za przybyciem do Paryża wprowadzono go do szkoły, w której się młodzież tańców i skoków różnych uczyła, jak dosiadać i przeskakiwać drewnianego konia i trafiać do tarczy pociskiem, ujrawszy to rzekł: „Nie ciało tu przyjechałem kształcić, ale umysł. Do tańców, skoków i sztuk konnych, lepszych mamy nauczycieli w Tatarach. Niechby do nas po tę naukę Francuzi jeździli.“

Za powrotem do ojczyzny, polecony od ojca, bawił na dworze królewskim; ale gdy się zdarzyła wyprawa na Wołoszczyznę, ruszył na nią ochot-

czo. Z wielką radością, po tym pierwszym chrzcie rycerskim, miłującym go rodzicom dwóch brańców wołoskich przedstawił.

Po ojcu swym mianowany kasztelanem poznańskim, będąc zarazem starostą leżajskim, wiódł krwawe zatargi ze Stanisławem Stadnickim, zwanym przez współczesnych *diabłem*, który nadworne swoje roty powiększywszy zgrajami hultajstwa z Węgier i Tatrów, najeżdżał dobra Opalińskiego i łupił. W nocnym napadzie schwytał raz nawet Opalińskiego. Ten wypuszczony z niewoli, mścił się smutnym odwetem, a sięgając go w Wojutyczach, wieś i dwór spalił. Obaj moiżni

i zuchwali, zapalczywi w gniewie, wzajemnej zguby szukali. Powodem ostatniej krwawej walki był pies gończy, którego Stadnicki pochwycał, oddać nie chciał.

Była to właśnie pora, gdy kraj był ogołocony z wojska, które ruszyło z Zygmuntem III pod Smoleńsk. Stadnicki, każdy dzień znacząc napadem i pożogą, daremnie w tej łupieży był od życzliwych przyjaciół wstrzymywany: pozywany do sądów nie stawał, a z wyroków zaocznych, skazujących go na banicyę, t. j. na wygnanie i śmierć, żartował, stojąc na czele kilkudziesięciu zbrojnego ludu. Unikał wprawdzie walnej rozprawy, ale dnia 14 sierpnia 1610 r. od

wojsk połączonych Opalińskiego i księżnej z Kostków Ostrogskiej, wojewodziny wołyńskiej, ściśniony pod wsią *Tarnawcem* blisko Leżajska, zmuszonym był bitwę stoczyć. Straciwszy pięćset Węgrów, którzy legli na poboju, sam strażą w kark uderzony, zginął. Z górą 6000 zbrojnych liczone w tej walce.

Pozywany Opaliński od synów zabitego, uwolniony został od odpowiedzialności wyrokiem trybunału koronnego, jako w sprawie z bannitą; toż samo miało miejsce gdy później ludzie jego, Władysława Stadnickiego, syna Stanisława, we wsi Krzemienicy nad Wisłoką zabili. Lubo wolny od prawa, dla oczyszczenia sumienia swego, wystawił w Leżajsku wspaniałą kościół bernardynów z klasztorem.

Zatargi te i wyprawy wycieńczyły dostatki Opalińskiego, skrzętnie od przodków zbierane (Niesiecki); ale król Zygmunt III podparł znakomicie jego fortunę nadaniami starostwami, a pragnąc go mieć ciągle przy boku swoim, oddał mu łaskę mniejszą po śmierci Andrzeja Przyjemskiego, marszałka nadwornego, dnia 7 września 1620 r. (metr. kor. ks. 166 fol. 338, podług tego poprawić należy Niesieckiego podanie), a następnie mianował go marszałkiem wielkim koronnym, dnia 15 kwietnia 1630 r. po zgonie Mikołaja z Podhajec Wolskiego. (Metr. kor. 178 f. 327.)

Opaliński posiadał wtedy 15 starostw, jako to: leżajskie, gieranowskie, ka-



ŁUKASZ OPALIŃSKI.

mionackie, kopieczyńskie, kolskie, łosickie, odolanowskie, pilskie, ujskie, wobromskie, rukieszowskie, szremskie, waleckie, miedzielskie i siennickie. Ogromne, dochody, przy wystawnym życiu i zbytku za ledwie starczyły mogły. Obok tego nie żałował fortuny swój na potrzeby ojczyzny. Do każdej wyprawy wojennej liczne zbrojne hufce wystawiał; w dwóch bezkrólewicach, po zgonie Zygmunta III i Władysława IV, z urzędu marszałka wielkiego koronnego, jako gospodarz zjazdów i elekcyj uważany, niemałe oddał rzeczypospolitej usługi. Na pole elekcyjne pod *Wolą* trzy tysiące dobranej jazdy wprowadzał. A co mu chlubę niemałą przyniosło, że przez lat blisko pięćdziesiąt marszałkując, tego najbardziej przestrzegał, aby za jego łaski prawa i zwyczaje stare, narodowe, nienaruszone zostały. (Potocki. Centur. f. 417.) Wielkiej wziętości używał na dworach trzech królów polskich: Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza; nie tylko z rozumu, zdrowej rady i wymiaru ścisłej sprawiedliwości, ale i z gorącej a szczerzej i szlachetnej gotowości do ofiar wszelkich na potrzeby rzeczypospolitej. Starzec ośmdziesięcioletni, złożył łaskę marszałkowską i zasiadł na krzesło wojewody rawskiego. Umarł w r. 1654, mieszkając w klasztorze bernardynów w Leżajsku. Trzy razy śluby małżeńskie powtarzał, i to z wdowami, których mienie do swego wcielał majątku. Pierwszą była herbu Leliwa córka Jana z Pilcy Pileckiego, dziedziczka dóbr Tyczyna, Sokołowa i Zalesia, wdowa po dwóch Kostkach (Janie staroście lipieńskim i Krzysztofie kasztelanie bieckim) (1). Drugą Zofia z Zurowa Daniłowiczówna, córka Mikołaja podskarbiego wielkiego koronnego, wdowa po Pawle Sapieże, podkanclerzym wielkiego księstwa litewskiego (2). Trzecią Elżbieta z Dąbrowicy Firlejówna, wdowa po Krzysztofie Ossolińskim, wojewodzie sandomierskim, z którą wziął Wiśnicze na Podlasiu i niektóre królewsczyzny. Zostawił trzy córki, syna żadnego.

Synowiec jego nosił też samo imię Łukasza, i był marszałkiem nadwornym koronnym, mąż znakomity zasługami obywatelskimi i pracami literackimi.

K. Wł. W.

Kronika tygodniowa.

Głos mój dzisiaj jest prawdziwie głosem wołającego na puszczy. I nie bierz wcale tych wyrazów, najdobrotliwszy czytelniku, w znaczeniu moralnym, nie myślę bowiem dodawać moich trzech groszy do tej litanii kazań i rekolekcyj, które ciebie ze wszystkich stron, o najcierpliwszy z czytelników, spotykają dzisiaj w literaturze. Wiem dobrze że masz już tego wszystkiego po uszy, że biorąc coś drukowanego do ręki, chciałbyś się czasem i zabawić, roześmiać, rozweselić po troskach i kłopotach dziennych, a tu krzyczą ci ciągle: ucz się, poprawiaj się, jesteś zły, rozrzutny, hulaka, karciarz, opieszalec i niepotem. — Piękny zapewne obrazek, jeżeli prawdziwy, czemu ani ja, ani ty zapewne, znany z rozsądku czytelniku, nie uwierzmy tak prędko. Już to po dawnemu, jak mówi pan Pasek, Bóg dobrotliwy jednakie promienie miłosierdzia swego zsyła na wszelkie narody świata, a dlaczegóż znowu mielibyśmy być gorsi od drugich. Wszakże w rodzinie narodów europejskich nie odgrywalimy nigdy chamowej roli. Dziwne upodobanie naszej literatury: nie lubi ona się trzymać środka. Kiedy chwali, to aż mdło, kiedy gani, to już i miarę przebierze. Dziś nadszedł peryód gania i nauczania, wszystko złe u nas widzą i... dalejże po tebin-kach. Już to, mówiąc w wielkiej tajemnicy, i ja nie przyznam, żeby ogół u nas odznaczał się wielkim zamiłowaniem do życia umysłowego i artystycznego; ale trudno, Pan Bóg jeszcze nie spuścił na nas w tym względzie swój łaski; niekoniecznie zaś znów trzymam z tymi panami, którzy nudnie piszą i żalą się że ich nikt nie czyta. Boże mój drogi, wszakże to

(1) Według Niesieckiego umarła w r. 1621, ratując sługi swe od zarazy. Data ta jednak jest fałszywą, gdyż w sierpniu 1628 roku czyniła jeszcze zapis na rzecz córki swjej, Konstancyi Grudzieńskiej starościny ujskiej. (Metr. kor. 179.) Może więc umarła 1631 r.

(2) W r. 1636 w lipcu była wdową. (Metr. kor. 182 f. 101 i 449.) Córka ich Katarzyna Izabella (R. 1637 Metr. kor. 182 f. 488).

ich wina, czysto ich wina tylko. Kiedy Bóg dał pióro w garść, to nie po to żeby lukrecją rozpuszczoną w wodzie dystylowanej porzucać czytelnikom na stronę. Chcecie uczyć, dobrze, niech nauka wasza będzie zajmująca, a znajdziecie uczniów chętnych. Ale stroić się tak na gwałt i ciągle w powagę, przemawiać bezustannie z katedry jakby do żaków, do czegoż to doprowadzi? Nie wolno żartu, nie wolno lekkości, zabronione są wszelkie tak zwane igraszki piórowe. Piszący u nas zaczynają wszyscy przybierać na siebie togi senatorów rzymskich: niedotykażcie Gallu ich brody, bo cię łaską uderzą. Ja sam nie pomnę wiele już bójek stoczyłem o to, że chciało mi się czasami pożartować. Niech wasze dzieła będą poważane w narodzie, wołają, niech mają zasługę w przyszłości, niechaj pokolenia które nadejdą, czytając je, wdzięcznymi będą naszej epoce. Niby to tak łatwo o pomniki. A mnie się znów zdaje że to łatwiej z powagą pleść nie do rzeczy, bo taką pisaninę mało kto czyta a zatem i sądzi. Pisz tak żeby cię wszyscy czytali, a będziesz pisarzem wpływowym, choćbyś zaś był najpoważniejszym i najmoralniejszym, to na co ci twoja moralność i powaga, jeżeli ci zbraknie czytelników. Wielcy autorowie nie żądali żeby ich z góry uznano za rozumnym, bo to samo z siebie przychodziło. Talent i rozum nie ukryją się, wyjdą one szydłem z worka, choćby worek z najgrubszej utkany był materii.

Ale gdzieżem się zagalopował, i o czymże mówiłem z początku? Prawda, o głosie na puszczy. Owóż rzeczywiście dziś puszcza u nas, puszcza najzupełniejsza, wszystko się porozjeżdżało, nastąpiły najgorsze dwa miesiące letnie. Gdzież to się podziały ta ludność, ta elegancja, te piękności? Dalibóg przeszłej niedzieli usadziłem się, (a ładna była pogoda), ażeby koniecznie zobaczyć piękne jakie ubranie. Idę do Saskiego ogrodu: pustki jakoś; siedzą wprawdzie po ławkach zwykle tak zwane filary ogrodowe, ale w wielkiej alei mało kto spaceruje, w bocznych zaś kilka nianiek z dziećmi, dwóch czy trzech emerytów i hydropaci odbywają zwykłą swoją wieczorną przechadzkę, z koniecznymi wizytami do studni. Pomyślałem sobie: ciężkie czasy dla Saskiego ogrodu nastąpiły, tutaj nie ma muzyki, a Warszawianie koniecznie do muzyki dążą. Pójdźmy przejrzeć ogródki. Pojechałem więc do Ohma, wróciłem do Tivoli; wszędzie spotykam kilkudziesięciu lubowników, ale nigdzie śladu tej ludności której szukałem, tej ludności którą wszyscy mają i która ma wszystkich, którą przyzwyczajeni jesteśmy spotykać na każdym miejscu gdzie się bawia, na balach, koncertach, uroczystościach, spacerach. Już ani chybi udali się wszyscy do alei, ku szwajcarskiej dolinie, w stronę ogrodu botanicznego. Zdażam więc tam, zdaleka widzę zwykły kurz, który obwieszcza tę ulubioną przechadzkę i stanowi jedyne świeże powietrze jakiego podczas lata doświadczyć możemy w mieście naszym. Ale tu mi się odkryła prawda tego twierdzenia Talesowego, że z małych powodów potężniejsze czasem bywają skutki aniżeli z wielkich. Ten kurz powodowały cztery obszarpane dorożki i ze dwa albo trzy stare powozy, o ledwie wlokących się koniach, przejeżdżające z wielką paradą po alejach, a dla większej wygody idących trotuarami, jechały one wszystkie bokiem, żeby się ustrzedz od bryzgania, bo środek ulicy polany był wodą, która właśnie na ten kurz miała stanowić skuteczne lekarstwo. Taki to już jest wrodzony porządek woźniców naszych. Nie powiem wam kto siedział w tych ekwipażach; to tylko pewna, że gdyby w obecnej porze, w tej Warszawie słynącej z pięknych kobiet, jaki cudzoziemiec znalazł się wraz ze mną na owej przechadźce, to zaiste żadną miarą nie mógłby pojąć, jakim sposobem miastu naszemu zrobiono tak fałszywą reputacją. Nawet szwajcarska dolina była tylko do połowy napełnioną, chociaż Bilse bardzo nęcający ogłosił programat, i o dziwo! znalazłem od razu miejsce, nie potrzebując padać na twarz przed garsonami i całować w rękę bufetową. Zaprawdę, ten ostatni fakt sprawił na mnie skutek porażenia elektrycznego. „O bogi! pomyślałem sobie, cóż się to stało? Czy to ma być ludźmi w Warszawie, czy więcej krzesel i ławek w szwajcarskiej dolinie? Po chwili rozmyśłu, uznałem prawdopodobieństwo pierwszej części tego przypuszczenia, boć niepodobna żeby tyle trudna rzecz, jak uprowadzenie się w miejscu publicznym u nas w dostateczną ilość krzesel i ławek, tak szybko miała nastąpić. Na tak śmiałe inno-

wacye w mieście naszym lata całe zwykle czekać trzeba.

Cóż wam powiem? Nawet ogród botaniczny owa zwykła letnia schadzka nadziei i wspomnień miłosnych, nawet ów ogród botaniczny świecił pustemi ścieżkami, pocieszając tylko patryarchalnym widokiem kilku poważnych rodzin, siedzących na ławkach i napominających dzieci o niechodzenie po trawnikach i niezrywanie kwiatków. Uciekłem czempredź z tego przybytku niewinności i czystego sumienia, zawadziłem jeszcze na chwilę o teatr, przed którym drzemało dwóch albo trzech dorożkarzy, mających ułatwić powrót do domu wysypującym się ztamtąd tłumom, i wróciłem do siebie, ażeby się oddać rozmyślaniu nad ważną bardzo kwestyą: „Gdzie się podziała Warszawa, kiedy jęj w Warszawie niema?”

Jedynym faktem ubiegłych dni z którego nam sprawę zdawać przychodzi, było ukończenie kursów szkolnych. Odbywało się ono po wszystkich gimnazjach i instytucjach, ze zwykłymi w takich razach uroczystościami. Dzienniki podały już nazwiska szczęśliwych, którzy otrzymali nagrody lub listy pochwalne, nam więc tylko przychodzi dołączyć szczerze nasze życzenia dla wszystkich tych praemiantów i promocyonowanych, oraz zasilić ich przytęm zbawienną radą, żeby podczas wakacyj czytali ile możności najwięcej Tygodnik Ilustrowany warszawski, jako bardzo piękną, nauczającą, moralną i starannie redagowaną publikacją. I nie mówię tego wcale w marniej nadziei zysków albo dla przechwałki, ale jedynie z miłości prawdy i staranności o dobro publiczne; za pomocą zaś tego skromnego wyznania, staram się tylko naśladować przykład niektórych pism naszych, które żadnej nie opuszczają sposobności, by oddać tę sprawiedliwość samym sobie. Tak jest (proszę sobie przypomnieć że to początek kwartału), ufai w czystość naszych przekonań i szlachetność naszych zamiarów, śmiało możemy pisać dalej tę kronikę tygodniową, nieplonąną ciesząc się nadzieją, że publiczność potrafi ocenić zbawienny cel usiłowań naszych. Gdyby zaś tego nie uczyniła, byłaby tylko zaślepioną i prosiłibyśmy Boga, żeby dla własnego jęj dobra zdjął jęj przepaskę z oczów. Wracając do ukończenia kursów szkolnych, szczerem sercem witamy tę małą gromadkę, która po ukończeniu nauk przygotowawczych, wchodzi na drogę czynu w trudnej walce życia. Sami pamiętamy tę epokę dni naszych, tę chwilę długo i gorąco pożądaną, która mozoły szkolne rozgranicza od tak zwaną młodzieńczą dojrzałości. Silna wówczas wiara w siebie, zapal niezuty jeszcze, uczucie mocniej gra w piersiach. Pompeusz, kiedy żądając tryumfu, kazał czcić wschodzące słońce, pojmował całą ową wszechwładzę młodości. Ależ niestety, iluż z nas, wchodząc do tego precudnego ogrodu życia, którym czarodziejska lampa Aladyna otwiera, pragnie zrywać czempredź owoce, nie nauczywszy się jeszcze hodowania ich? Przypomnijmy sobie co powiedział Malesherbes wychodzącemu ze szkół młodzieńcowi, który popisywał się przed nim z całą swoją studencką erudycją.

— No teraz, mój przyjacielu, rzekł on do niego, masz przynajmniej prawo wiedzieć że jeszcze nic nie umiesz.

Wszakże umiejętność palenia cygar i papierosów, szybko wyhodowane wąsy, nieulekniecie się kilku kieliszków wina, a nawet pewien już stopień obycia się z piękniejszą połową naszego rodzaju, nie stanowią jeszcze człowieka, ani mogą być uważane za cechy zupełnej dojrzałości. Ojcowie nasi później od nas rozpoczynali życie, ale też za to dłużej i pożyteczniej dla kraju je wiedli. Bóg dobrotliwy dozwoli w łasce swojej, że te młode pokolenia, które ciągle a kolejno spędzają nas z pola, nauczone dobrym przykładem, unikać będą szkopułów, o które najczęściej rozbijały się nasze dobre chęci, bo wierzę że tych nigdy w narodzie naszym nie zbrakło. Szerszy obręb otwarty dla nich, niżli dla nas był ongi; niechajże więc korzystają z niego póki sił.

Nic wam nowego nie powiem nawet o komecie, która jeszcze wcale nie doszła u nas do przestraszających rozmiarów. Jeżeli to ma być kometą Karola Vgo, to oddawszy nam tak spóźnione odwiedziny, musi się dziwić niektórym zmianom, jakie zaszły na ziemi od tego czasu. Ludek jakoś ani zważa na nią, bo w kwestyi komet diablo już odczarowany został.

Podobno w Krakowie ma wychodzić nowe pismo

peryodyczne, pod tytułem *Niewiasta*. Sam już ten tytuł zdaje się znamionować cel i zakres téj publikacji. Wróży jej powodzenie, bo kobiety najchętniej i najwięcej u nas czytają, byleby redakcyja umiała im prawdziwie pożyteczny posiłek duchowy zapewnić.

W skutek zamieszczonego przez nas artykułu o częstym spotykaniu na ulicy ludzi pijanych, otrzymaliśmy korespondencyą, z której wyjmujemy kilka następujących uwag, całym sercem zgadzając się na nie.

„Na jednej małej uliczce prowadzącej do Kamiennychschodków, pisze nasz korespondent, są aż trzy szynki, a wszystkie zawsze pełne najniższej klasy ludzi. Żeby zaś nigdy na brak wódki nie narzekano, arendarze na święta wynajmują kobiety, które tak są zdemoralizowane, że jak w roku bieżącym nawet w samą Wielkanoc szynkowały wódkę, a tłumy wyrobników, niedorostków napelniały w taki dzień uroczysty w całym chrześcijaństwie izbę szynkową przy ulicy Celnój. A czyliż tego i gdzieindziej nie było? Owo wygrywanie katarynek od rana po szynkach, jak muzyki po bawarych w święto lub dni powszednie, czyliż niezachęca do hulanki, do pijatyki?

„Spójrzmy, teraz w inną stronę Starego-miasta. Na wszystkich placach, na Zielonój górze, przy Zjeździe, tłumy niedorostków, podzielone na kółka, grywają o pieniądze w karty. Zaden z nich nie pomyśli o pracy, o modlitwie w kościele, ale od rana do nocy zgrywają jedni drugich. Czy to nie przyszli złoczyńcy, czy to nie złodzieje kieszonkowi? A co przytém za wymysły, za obyczaje! Braknie ludzi do rzemiosł, narzekają powszechnie rzemieślnicy na trudność dostania robotników lub na ich demoralizacyą, a tłumy ich włóczą się po mieście. A już w poniedziałki, aż zgroza patrzeć na tych opilców. W samym środku miasta, w Karasia domu, istnieje prawdziwa otchłań pijaństwa. Towarzystwo Dobroczyńności powinno zachęcić obywateli miejskich, żeby koniecznie chociaż jeden dom założyli dla podobnych wałęsów i zajęli ich pracą, a do redaktorów pism publicznych należy raz wraz wołać, pisać, prosić obojętnych na własne dobro, aby starali się o poprawę moralności, o uszanowanie świąt, o przeszkodzenie rozpijaniu się niższej klasy. Tępieje u nas coraz bardziej zmysł przyzwoitości na to co złe a co szpetne, co demoralizuje lud; postęp z Zachodu obalamuca głowy, którym się zdaje że to co tam dobrém być może, to i u nas da się zastosować, a to fałsz wierutny. Zresztą wiele tam jest złego, lecz wiele i dobrego, które u nas coraz bardziej idzie w poniewierkę.“

Zakończę faktem jaki miał miejsce w tych dniach.

Jakiś pan, butnego snadź usposobienia, wszedł do jednej z tutejszych restauracyj i kazał sobie dać jeść z karty. Podano mu zupę, ale posmakowawszy jej i nie uznając widać za dobrą, zbliżył się do okna, otworzył je i bez dalszych ceremonij wylał zupę z wazy na ulicę. Garson, który właśnie przychodził z jakąś inną potrawą, niewiele myśląc, poszedł ku oknu i uczynił to samo.

— Co robisz, trutniu? zapytał ów jegomość, zadziwiony śmiałością garsona.

— Ja myślałem, odpowiedział ten ostatni, skrobiąc się w głowę, że jaśnie pan życzy sobie jeść obiad na świeżém powietrzu.

NADGOPLAŃSKA BIESIADA.

(PODANIE LUDOWE).

Dopóki kujawski żył wojewoda, szczęściem, pokojem i dobrym bytem oddychały wioski, miasteczka. Zapasy zboża leżały jeszcze w gumnach z lat dawnych, gdy na urodzajnych łanach kołysała się pszenica; dobytek w pańskich oborach stał na usługi kmiećcej potrzeby, a skarbiec obfitował w złoto. Błogie téż były czasy i ekwity urodzaj. Nie zbrakło chleba w zagrodach, było co przywdziać na siebie. Piosnki wesołe płynęły z ust ludu, a znojna praca szła swym porządkiem, ochoczo, zwinnie, bez gwałtów. W święto był każdy wolny od trudów; kościół zapchany pobożnym ludem, i chwała Boża na skrzydłach anielskich wznosiła się w górę ku niebu.

W czasie żniw wojewoda z córką Bożenną wychodził w pole i pochwaliwszy Pana Boga, stanął i patrzył radośnie na rój żniwiarzy ochotnych, pochwalił zwinnego parobka, upomniał podstarościgo, aby się z ludem obchodził łagodnie; kazał wystawić półbe-

czek piwa, obdarzył datkiem pieniężnym pilnych młodzieńców i zadowolony powrócił do zamku.

A panienka, to istny anioł w ludzkiej postaci. Nie było chaty, gdzieby nie weszła, nie zagadała z dziećmi, darząc je wszystkie upominkami. Kochały ją téż wieśniaczki i czyły jak świętą. Sięrota po stracie matki, dziwnie była dobrą i łagodną. Ledwie czterem nastą skończyła wiosnę, a już tyle miała rozumu, że sama jedna, z pomocą stariej piastunki Gertrudy, rządziła domem i służbą, nikomu krzywdy nie wyrządzała, a rozkaz dawała prośbą, nie groźbą. To téż zamkowa służba wojewody w ogieńby za nią skoczyła gotowa.

Tak płynęły chwile od zgonu nieboszczki wojewodziny. Zamek posmutniał i osamotniał, bo wojewoda, pochylony wiekiem, zerwał stosunki ze światem. Zajęty szczęściem swych poddanych, od śmierci żony nigdzie się nie wydał. Długie dnia godziny przepędzał w modlitwie nad grobem drogiej małżonki, lub téż rozmawiał z córką, wpajając w serce młodego dziewczęcia boskie nauki i cnoty. Ale jak z jednej strony czuł się szczęśliwym, że w pięknej Bożennie pozostał mu wierny obraz cnót i dobroci zgasłej połowicy, tak znowu syn jego Grzmisław zatruwał spokój ojcowski. Młody niedorostek był tak dziwacznie dumny, tak nienawistnym dla swój siostry, że ojciec, widząc to rozdwojenie, acz z żalem w sercu, postanowił wysłać go do obcych krajów, sądząc że rozdział na lat kilka przemieni syna usposobienie.

Odjechał więc wojewodzie w towarzystwie Miłosza, urodziwego młodzieńca, który, jako sięrota po przyjacielu wojewody, na wojnie z Turkami poległym, chował się w zamku wraz z Bożenną i Grzmisławem. Obydwóch ojciec powierzył pieczy świadomego obcych krajów szlachcica Rembosza. Po rozstaniu się z nimi, Bożenna udała się na wieżę zamkową i tam długo śledziła łąką zamglonemi oczyma tuman kurzawy na drodze. Młode jej serce biło gwałtownie; bo ona brata, choć niekochana, kochała serdecznie, a z powabnym Miłoszem tkliwa łączyła ją przyjaźń. Słońce się zniżało za lasy, złote promienie kąpiąc w jeziorze. Bożenna jeszcze dumiała, a nad nią w górze, jak anioł ze skrzydłem rozpiętym, biały płynął obłoczek.

Minęły lata. Na świecie było ciemno i burzliwie; wichur dął gwałtowny po starych świerkach i lipach, a deszcz kroplisty trząsał po szybach okien, Burzyło się Gopło, zapienione miotając bałwany i uderzając niemi o mury zamku, w którym od roku osiadła cisza. Wojewoda już nie żył, a okropnym ciosem boleści dotknięta Bożenna, zamieszkała z Gertrudą na folwarku, bo zamek już odtąd był jej niemiłym.

Zaturkotało na dworze. Wojewodzie, na wieść śmierci rodzica, powrócił z zamorskiej ziemi, a razem z nim Miłosz i Rębosz. Miłosz białą wojewodzianki rączkę tuli do serca, a ona chyli skronie do młodziana i szeptem mu słowa boleści. Dumny Grzmisław nie przybył nawet siostry przywitać; zczudziemczają, przebrany w strój niemiecki, zapomniał o uczuciu rodzinném.

Nazajutrz zaraz dał poznać groźną moc swych rządów: odprawił sługi dawniejsze, a na ich miejsce poprzyjmował nowe, urzędy zaś obsadził cudzoziemcami. Sarkali skrycie mieszkańcy włości, bo jawny opór srodze karano; szemrała szlachta i mieszczanie. Nie pomogły rady Miłosza i zbawienne Rębosza uwagi, bo wojewodzie ich nie słuchał.

Po kilku latach dotkliwych rządów wojewodzica, nastały w kraju zamieszki: głód, mór i wojna szerzyły srogie zniszczenia; lecz mimo to na zamku coraz huczniejsze brzmiały biesiady. Ściany się trzęsły od zgiełku, wrzawy; okna rześistém płonęły światłem, a po głębokich nurtach jeziora odgłos muzyki i pijanych okrzyków codzień się odbijał. Dębowe stoły gną się pod ciężarem srebrnych i złotych naczyń; komnaty otwarte na rozcież, a po wszystkich szlachta się roi, gwarne i głośnie tocząc rozmowy. Góruje między niemi postać wojewodzica, który przechadza się dumnie pośród swych gości i chmurném okiem rzuca w okół. Na czole jego marszczka osiadła, na ustach zawisł uśmiech szyderyczy, bo w sercu tajemne myśli gnieźdzą się oddawna. Szlachta nie baczy na gospodarza, który hojności daje dowody: jé, pije, hula razdzi rozgłośnie. Na boku tylko samotnie siadł Miłosz i głowę pochylił ku ziemi, ciężką ujęty zadumą.

A na folwarku piękna Bożenna skromne zajmuje komnaty. Dnie we łzach płyną dziewicy, noce w bezsennój boleści. Jedyną osłodą jej niedoli modlitwa, jedyną pociechą w sieroctwie stara piastunka Gertruda. Obie się cieszą lub płaczą społem, klęcząc przed świętym obrazem jasnogórskiej królowej. Pięć już jesieni przeszło i szóstą wiosnę maj zazielenił, odkąd Bożenna samotna na świecie. Grzmisław wydarł ostatki biednej sierocie. Oczy jej łzami zalane; w bladém obliczu cierpienia ślady; wiotka postać, w czarną przybrana sukienkę, guie się jak kłós pszeniczny pod nieszczęść ciężarem.

I codzień smutniej w nadgoplańskiej stronie, a lzy jak krople deszczu, padają z ocz ludu i płyną strumieniem do jeziora. Rozległe włości możnego pana, który się bawi z gośćmi w swym zamku, jęczą pod jarzmem niedoli, złorzecząc cichém przekleństwem, a codzień gorzej i gorzej, aż nieraz Gopło wstrząsa się gniewnie w swém łożysku, szumi i huczy, pieni się i sroży na taką obrazę praw bożych. Pszeniczne łany kujawskiej ziemi, jakby zakłęte, rodzić przestały, bo dzikie chwasty, kłokol i oset tłumią zasiewy. Więc smutno, pusto w sielskiej siedzibie, a smutniej jeszcze w sercach jej mieszkańców.

Na zamku tylko z dnia na dzień huczniej, weseliej. Piwnice dziadów otwarte, wino leje się strumieniem. Szlachta wiwaty spełnia szalone; a w kraju tymczasem rozpacz, śmierć i pożoga, bo Szwed jak szarańcza zalał kraj polski: pali, pustoszy i wyrzyna, a morowa dziewica potrząsa krwawą chustą nad biedną ziemią, siejąc zniszczenie.

W komnatach zamku stare przodków obrazy groźne rzucają spojrzenia na tłum rozpustnych potomków; lecz szlachta, sownie uraczana, wierność i przyjaźń zaprzysięga Grzmisławowi, wynosząc hojność magnata. Wstrzemięźliwsi tylko, patrząc w oblicze dumnego pana, dostrzegają w niem podstęp i zdradę, zwłaszcza że na ucztach zamkowych widywano nieraz i posłów szwedzkiego mocarza, w tajnych z wojewodziec naradach.

Aż jednej nocy, gdy puhar krążył koleją, łącząc w uściski biesiadujących, nagle straszliwa zrywa się burza, grom za gromem uderza, jezioro Gopło zatrzęsło grzbietem, wzdęły się groźnie jego bałwany i uderzyły na zamek, aż się rozpekły mury starego grodu i w nurty wodne runął gmach wojewodów. Jeden tylko Miłosz ocalał. (*)

Przeszła krajowa nawała, przepłynęły lzy niedoli, i w nadgoplańskiej siedzibie cisza znów osiadła. Zielenią się łany i kwitną drzewa w ogrodach, a rolnik w zawody ze skowronkiem nuci piosenkę swobody. I znów, jak za dawnych czasów, Miłosz z Bożenną, połączeni już na zawsze, zwidzają sielskie lepianki, darząc pociechą swych poddanych; a kiedy dzwonek zabrzmie w kaplicy, spieszą pospołu z niemi, dziękować Bogu za cudowne swe ocalenie.

I przeszły lata; a dotąd jeszcze wśród ciszy nocnej po nurtach jeziora odbrzmiewają krzyki biesiadujących: dziki gwar, jęki i przekleństwa potopionych. Na powierzchni wodnej ukazują się straszliwe widma i złowrobnym okrzykiem niepokoją nadgoplańskich mieszkańców.

F. Staszic.

KRZEMIENIEC.

Stary gród nasz wołyński sięga tych pierwotnych czasów słowiańskich, po których dziś, prócz grobowisk i zamków kilku i kilku podań głuchych, nic nie pozostało. Samo położenie gródka na stożkowatym górze skraju, nieoblanego nawet wodą, niewzmocnionego niczem, prócz spadzistości pomagającej do obrony, dowodzi że się tam ludzie usadowili, gdy wojny były walką i zapasem, nie próbą machin bojowych i wojny obróconej już w sztukę i rzemiosło. Zdaniem wszystkich, pierwsza zamku budowa sięga bardzo odległych czasów, może IX lub X wieku, ale uległa aż do XVI tyłu poprawom i przerobieniom, że tam z owego pierwotnego murów wianka zaledwie trochę gruzów pozostało.

(*) Jezioro Gopło zmienia z wiekami swoje łożysko, posuwając się ku wschodowi i zalewając wsie i miasteczka. Starożytne miasto Slesin i kilka wiosek znalazło tym sposobem grób swój w otchłani wodnej. Dotąd w czasie pogody i ciszy letniej można jeszcze dostrzedz zalane murów szczyty. (Przyp. autora).

W XI wieku na Krzemieńcu siedzieli Mokosiejowie Deniski, którzy go poddali dobrowolnie Bolesławowi Śmiałemu, a rodzina ich i później jeszcze gnieździła się przy owym pradziadowskim zamku, bo w początku XVI wieku zabezpieczono im zachowanie prastarych grobowisk ich naddziadów, znajdujących się w tych murach.

Kronika Krzemieńca milczy od 1064 r., to jest od poddania się jego Bolesławowi, do 1226, gdy u stóp góry zaszła bitwa, o której znowu wspomina, pomiędzy królewiczem węgierskim Andrzejem, a księciem halickim Wdałym.

W kilkanaście lat później zamek cudem prawie ostał się przeciwko powodzi Tatarów Batuchana, która cały Wołyń w r. 1241 żalała, a w drugie tyle lat prawie, w r. 1255, nie dał się raz jeszcze oblegającej go dzicy.

Tatarowie bowiem czego nie ubiegli na razie, rzadko zdobyli później, brakło im i środków do brania zamków i czasu jakiego potrzebowało obleganie; po-

przeszły do korony, acz Litwa się oń upominała, aż do unii lubelskiej.

Za Zygmunta I dano Krzemieniec najprzód Januszowi z książąt litewskich, synowi króla z Katryny Słężanki, a potem królowej Bonie. W tych czasach zamek podniszczony nieco oprawiać zaczęto. Kopano studnię, stawiano domy dla straży, chciano wieżę wznosić u wnijscia. Zdaje się że rozpoczęte za księcia Janusza roboty, królowa przez swoich starostów kończyć musiała, bo pamięć po niej pozostała tu tak żywą, jak niczyja druga. Zapomniano Tatarów, męczenników, królów, a Bony imię uparcie do murów i gór przyłgnęło. Wprawdzie nadane przez nią przywileje mieszkańcom mogły się też do tego przyczynić. Ona tu wzniosła i kościół farny, w którym do ostatnich czasów portret jej był zawieszony, i szpital dla ubogich przy nim. Tak ta odrobinka dobra którą tu uczyniła, więcej dziś nierównie jej robi sławy, niż wszystko złe na które kraj narzekał. I żyje królowa Bona w Krzemieńcu, gdzie może noga jej nie powstała, jedną tylko swą myślą przelotną ale pocziwą,

także kilka słów o Krzemieńcu, gdzie był dnia 1 września. Widok w dzienniku jego rysowany przedstawia zamek na górze Bony i malowniczy wąwóz od przyjazdu ze strony Lachowic, w którym Müntz z powodu złej drogi się wywrócił. O mieście pisze on jak o małej osadzie, rozsypanej u stóp góry na 400 do 500 stóp wyniosłej, a zamek do XIII wieku odnosi. Wspomina także o wspaniałym gmachu jezuitskim i znalezionych w okolicy rudach, z których wnosili że możnaby tu dobywać ołów, srebro i żelazo.

W takim stanie zapomnienia i opuszczenia był Krzemieniec w początkach XIX wieku, gdy iskry życia wlał weń człowiek, którego Opatrzność dała temu zakątkowi kraju, aby go z odrętwienia ocucił.

Człowiekiem tym, nie dosyć dotąd ocenionym, niepojętym choć wychwalanym, był Tadeusz Czacki, którego młode lata, wychowanie, stosowne urzędy zdawały się w inną sferę popychać, w świat dworu i wytwornego próżnowania, a charakter i umysł pociągnęły na plac czynu i poświęceń. Czacki, którego dzieła świadczą o niezmierniej pracowitości i talen-



KRZEMIENIEC.

strach jaki szerzyli, najdzielniejszym był ich orężem. Później w r. 1259, gdy Wołyń z Rusią popadł cały w jarzmo tatarskie, niezdobyty ów zamek krzemieniecki, rozbrojony został.

Z tych to lat tatarskich napadów ma tutejsze miasto i ziemia dwóch zapomnianych męczenników, reguły św. Franciszka, błogosławionych Gerarda i Marquilda, którzy w miasteczku zamordowani zostali w r. 1242 (1).

Razem z innymi ziemiami ruskimi, w początku XIII wieku przeszedł Krzemieniec pod panowanie litewskie, później przez Kaźmirza Wielkiego w walkach z Lubartem przyłączony do korony i raz jeszcze odebrany przez niego. Po zjednoczeniu dwóch krajów, trzymali gród Dymitr Korybut i Swidrygiełło, który warcholąc, potem na więzienie się dostał do zamku i z niego uciekł na Wołoszę. Zamek i ziemia

(1) Do tych dołączyć należy błogosławioną Annę Omiecińską, której ciało długo spoczywało w Krzemieńcu. Żywoć jej znajduje się (jeśli się nie mylę), w Jaroszewie: Matka Świętych.

W ogóle później zamki koronne, z wyjątkiem niewielu bardzo ważniejszych, znacznie podupadać zaczęły; stało się to i z Krzemieńcem, którego lustracje urzędowe pokazują, że się tak ledwie trzymał jak z czasów Zygmunta I pozostał, chyląc się siłą czasu ku ruinie. Sztuka wojowania, potrzeby wojenne się zmieniały, a tu prastary rynsztunek, zbroja i działa i puszkarze po dawnemu się trzymali tylko.

Nie brakło za to miastu przywilejów, za późniejszych królów wydawanych i odwoływanych, które do wzrostu miast wcale się nie przyczyniały. Tak doczekało zamczysko w połowie XVII wieku napadu i rabunku kozactwa, który je ostatecznie zniszczył. W czasach późniejszych wegetowało resztką życia dawnego, utrzymując się jako stolica ziemi i urzędu, jako małe handlu ognisko. W ciągu stu lat z okładem nic o niemu do powiedzenia nie mamy, powoli wzniosły się tylko kościoły, klasztory, jezuitskie kolegium. W r. 1782 podróżujący po Wołyniu i Ukrainie pułkownik inżynierów w służbie polskiej J. H. Müntz, domownik księcia Stanisława Poniatowskiego, który mnóstwo rysunków i notat w drodze tej zbierał, napisał w nich

tach pisarskich, jest jednym z pięknych typów przechodnich, na krańcu dwóch wieków stojących i łączących je z sobą.

Jest to człowiek którego pali żądza być użytecznym krajowi, działać, pracować, budzić, wspomagać, krzewić życie. Temu pragnieniu poświęca on wszystko: spokój, miłość ludzi, którym narażać się musi, domowe szczęście, majątek, nawet sławę swą, bo mu przychodzi wśród drogi być stokroć zapoznanym, spotwarzonym, posądzonym... Ale nic go nie zraża, Czacki idzie z uśmiechem drogą swoją, pewną, wykręśloną, na zawady nie patrzy, na ból nie zważa i dobiega się celu z obojętnością żołnierza, który posłuszny idei i uczuciu, nad spełnienie obowiązku innej nie żąda nagrody.

W pierwszych latach XIX wieku Czacki, uczyniony wizytatorem szkół wołyńskich, zaczyna je objeżdżać, znajduje w stanie najopłakańszym: nauki bez systemu, zakłady bez związku między sobą, młodzież rozpuszczoną, ciemnotę barbarzyńską. Ten objazd zapewne wskazać musiał mu potrzebę niezmierną wyższych szkół wzorowych dla Wołynia, któreby innym za normę, za

przewodnika i matkę służyć mogły. Współ z Kollątajem, poczynają się krzątać oba około gimnazjum w Krzemieńcu, gdzie były już wydziałowe szkoły akademickie.

Ale Czacki wszystko tu stwarzać musi: fundusze, pomieszczenie, plany nauk, ludzi do nich, i zadaniu niezmiernemu podoływa, mimo wrzasków, oskarżeń, oporu tych, którzy go sądzą jako nieprzyjaciela kraju, jako wydziecę szlacheckich funduszków. Ileż to potrzeba było pracy, cierpliwości, męstwa, zaparcia się siebie, pokory i siły zarazem, by przywieść do skutku instytucją, która grosza, współdziałania, sympatii potrzebowała! Na to tylko Czacki mógł zdobyć się, i zdobył nie nadaremnie.

Mówiliśmy to już gdzieindziej i powtórzyć tu musimy raz jeszcze:

„Przyznać potrzeba, że to trochę zacności, bezinteresowności, wylania dla ogółu, wstępu od wszelkiej niesprawiedliwości i brudu, które dziś nam świecą, z tamtąd idą, z Krzemieńca; — jest to odbicie zacności Czackiego, zacności ludzi którymi on się otaczał. Łatwo to krytykować owo szumne ale nietreściwe w wyrazach, bez widocznego celu idące i często w środkach niepraktyczne, bujne pokolenie, ale gdy stracim (co niedługo nastąpi) te szczerości i uczciwości szczątki, dopiero się dowiemy cośmy mieli i cośmy lekceważyli.“ (Pam. Drzewieckiego)

Ze szkół wydziałowych Czacki utworzył natychmiast gimnazjum, z pośpiechem, z tą gorączką pracy, która mu była właściwą, którą i w drugich wlewać umiał. Potrzeba było mury odebrać, oczyścić,

rzeczywiście nazwać je swoim, bo bez niego Wołyń nigdyby takiej instytucji nie posiadał.

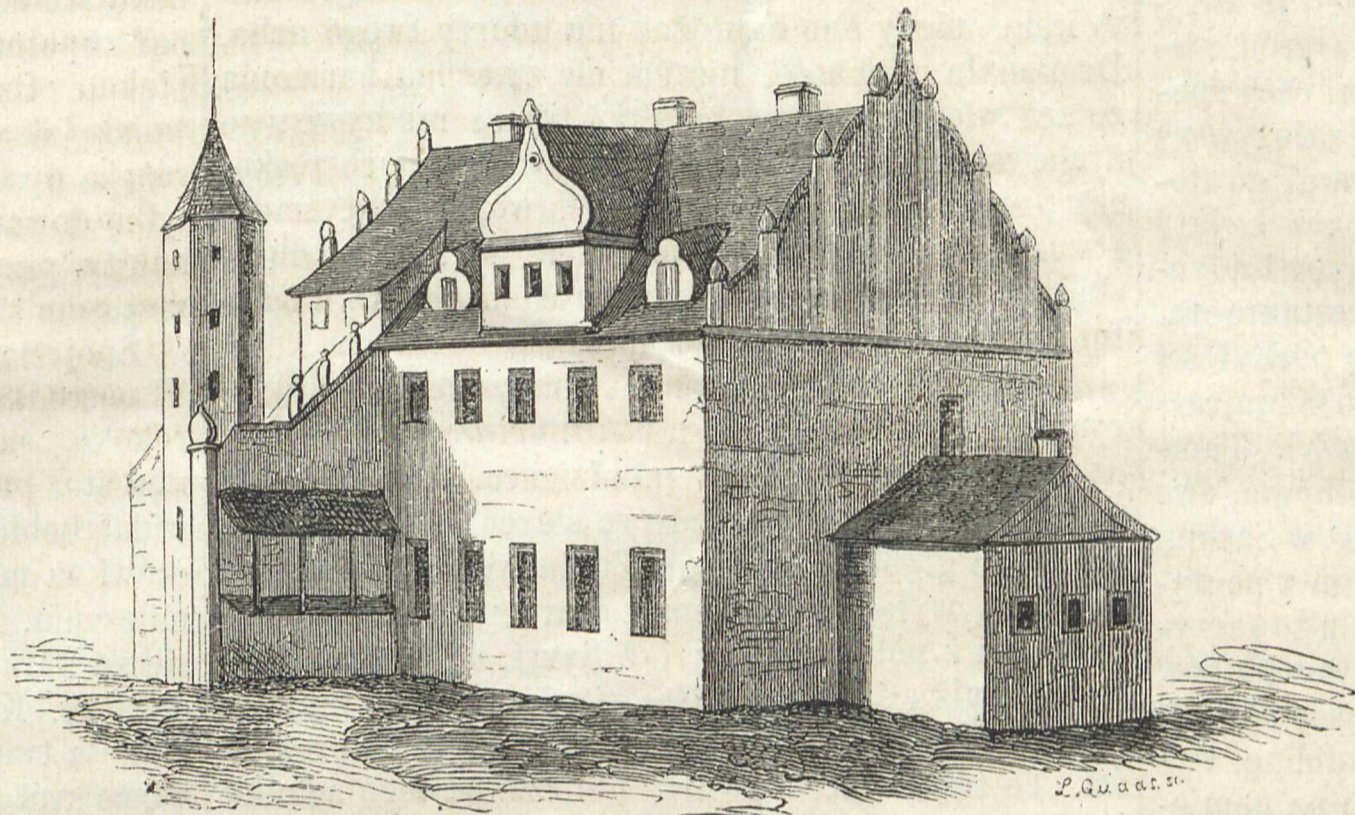
Gdy zważym że w 1813 roku zmarł starosta nowogrodzki, że okres cały jego działania dla szkół wołyńskich w dziesięciu latach od 1803 do 1813 się zamyka, gdy porównamy co uczynił z czasem jaki mu był dany, z krajem w którym pracował, przeszkoda-

pięnie do naszych się czasów dochował, a nawet jest dotąd mieszkalnym; tém szczególniejszy, że znajduje się w miasteczku bardzo niedawnej daty, powstałym z osady rzemieślniczej, założonej na gruncie dóbr Poddebica przez Klemensa Zakrzewskiego, właściciela tych majątności w województwie mazowieckim, w obwodzie łęczyckim położonych.

Osada ta dopiero w skutek prośby tegoż Zakrzewskiego, postanowieniem księcia namiestnika królewskiego, wydanem dnia 17 września 1822 roku, wyniesioną została na stopień miasta, otrzymała terazniejszą swoje nazwisko i była przypuszczoną do wszelkich praw miastem prywatnym w królestwie polskim służących.

Dziś Poddebice należą do gubernii warszawskiej, powiatu łęczyckiego, zaludnione w większej części fabrykantami, liczą w ogóle 1862 mieszkańców, pomiędzy którymi pochodzenia niemieckiego jest 269, a starozakonnych 830. Domów murowanych ma dwa, drewnianych 167. Cenniejszą ozdobą miasteczka jest ów zameczek, wszakże kto go wystawił i kiedy, niewiadomo. Była-li to siedziba starożytnego domu Zakrzewskich herbu Ogończyk (których zwano Zboźnemi, to jest poboźnemi), szeroko niegdyś na Kujawach rozgałęzionego i w dziejach krajowych znanego? czyli téż Zakrzewskich Wyssygotów, podobnie z tych stron pochodzących? dotąd wysledzić nam się nie udało; to tylko pewna, iż budowla pochodzi z końca szesnastego wieku.

Zameczek to niewielki, ale wytwornie zbudowany; wystawiony na piętro, z dosyć ostrym dachem, niby



ZAMECZEK W PODDEBICACH.

mi z jakimi walczył, a potem spojrzym na owoce pracy, zdumić się potrzeba i głowę skłonić przed wielkim mężem.

Dziś jeszcze nie pora sądzić człowieka i dzieło — ale pora je szanować.

Krzemieniec po śmierci wielkiego męża, żył nadanym mu przezeń życiem, które najlepiej malują pamiętniki i listy zacnego szefa Drzewieckiego; w nich

mi z jakimi walczył, a potem spojrzym na owoce pracy, zdumić się potrzeba i głowę skłonić przed wielkim mężem.

Dziś jeszcze nie pora sądzić człowieka i dzieło — ale pora je szanować.



SZWAJCARSKA DOLINA W WARSZAWIE

do nowego przeznaczenia zastosować, myśleć natychmiast o pracach i zbiorach naukowych, bibliotece, gabinetach; ale jedno i drugie dokonało się szczęśliwie, a nabycie po królu ksiąg i numizmatów od razu zubożyło Krzemieniec jednym z najcenniejszych w kraju zbiorów.

Dnia 1 października 1805 roku Czacki uroczystie już, urzędownie, gimnazjum swoje otwierał, a mógł

bliższych szczegółów ostatka tego obrazu szukać potrzeba.

J. I. Kraszewski.

ZAMECZEK W PODDEBICACH.

Wizerunek gmachu na niniejszym drzeworycie przedstawionego należy do rzadkich zabytków budownictwa świeckiego z XVI stulecia i w całości swój

zębami szczytami i wysoką, ośmiogranną wieżą, którą z głównym zamkiem zabudowaniem rodzaj galerii łączy. Mury jego są zdrowe, nadzwyczaj mocne, a gdy zawsze był zamieszkiwany i dobrze utrzymywany, nie dziw że tak szczęśliwie przetrwał wieki. Wewnątrz nie ma on teraz żadnych śladów swego starożytności, przynajmniej nie są nam znane; życzyliby więc należało, aby kto bliżej znający rzeczy, o tém

zameczku i jego mieszkańcach dokładniejszą szczegółowo podał do wiadomości publicznej.

SZWAJCARSKA DOLINA W WARSZAWIE.

Szwajcarska dolina należy do rzędu najprzyjemniejszych dla Warszawian miejskich ustroni. Każdego dnia nad wieczorem spotkać tam można licznie zebraną publiczność, należącą do tak nazwanego wyższego towarzystwa, a już to w niedzielę lub święto uroczyste, tysiące osób się tam zbiera. Ogród, niegdyś fruktowy, pomalą, nieznacznie nabrał cech spacerowego, bo pierwotny jego właściciel, założywszy sobie pewne spekulacyjne cele, uporządkował go stosownie, ścieżki starannie wytknął, kłoby w kwiaty zaopatrzył, a wystawiwszy parę drewnianych budynków, przeznaczył takowe na bufet i restauracyę. Z powodu miłej dla oka wewnątrz ogrodu pochyłości i formującej się ztąd dolinki, przezwano go Szwajcarską doliną i dla użytku publicznego otworzył. Tamto przed laty kilkunastą poczęły się odbywać owe fantowe loterye na dochód ubogich, teraz w Saskim ogrodzie rok rocznie się powtarzające; tam z początku Rajczak, biegle grający na trąbce, z towarzystwem swoim ściągając znaczną liczbę zwolenników muzyki. Gdy później inny znów, zasobniejszy i śmielszy przedsiębiorca, nabywszy szwajcarską dolinę, wystawił pałacyk, z piękną i obszerną salą na pomieszczenie w czasie niepogody lub zimy zgromadzających się gości, i do tego w rok później sprowadził z Lignicy Bilsego, tłumy słuchaczy to miejsce nawidzać poczęły. Obecnie Bilse, przybywszy powtórnie w maju roku bieżącego do Warszawy, ale już z powiększoną i staranniej jeszcze ukształconą orkiestrą, uczynił z tego ogrodu jakiś niby przybytek muzyki. Kto przeto pragnie lekkimi albo wzniosłymi utworami znakomitych mistrzów tej sztuki popieścić się, kto pragnie wolną chwilę po całodzienną pracę spędzić przyjemnie, ten spieszy do doliny, a oplaciwszy za wejście złotówkę, siada w cieniu drzew, w pośród liczego grona eleganckiego towarzystwa, podziwiając dokładność i sumiennosc wykonania lignickiej orkiestry.

Ta ciągła inwazyja orkiestr niemieckich, na którą od lat kilku wystawieni jesteśmy, jak każda rzecz na świecie, ma swoją dobrą i złą stronę. O pierwszój, wielbiciele jej szeroko się już rozpisywali. Ogłaszają na przykład: że teraz dopiero nauczone nas słuchać dobrej muzyki, że teraz dopiero poznać ją nam dano i t. p. Jestto, niech nam się tak nazwać godzi, lekko-myślnością trudną do darowania, bo niepodobna przypuszczać, ażeby już ogół publiczności zapomniał istotnie o ważnych usługach Elsnera, Kurpińskiego, Dobrzyńskiego i innych późniejszych kompozytorów, wyświadczonych sprawie muzyki nie tylko narodowej, lecz nawet powszechniej. Nie od dziś dopiero prawdziwie dobrej muzyki słuchamy, nie była ona także aż dotąd żadnym dla nas hieroglifem. Ale co gorsza, nawał ów cudzoziemskich muzykantów pozbawił znacznej części zarobkowania miejscowych, na tutejszej ziemi zrodzonych, którzy nie mogąc we względzie artystycznym wytrzymać z niemi konkurencji, przywiedzeni przez to zostali do rozpaczliwego nieraz położenia. Nie będziemy na ten raz wchodzić w roztrząsanie, o ile współczucie dla obcych, obojętnosc zaś i pogarda niemal dla swoich jest słuszną i sprawiedliwą, ani rozstrzygać czy niemieckie orkiestry są nam niezbędne, ale przykro pomyśleć że ziomkowie nasi, ponoszący wszelkie ciężary do miejscowości przywiązane, na własnym gruncie widzą się skutkiem nadmiarowego i przesadzonego dla przybyszów uwielbienia, przyprowadzonymi do ubóstwa, do nędzy prawie. Niejeden nam może odpowieć, że sztuka ma swoje wyższe cele, że mierności i niedołęztwa zgoła nie znosi, albo jaków znakomity mówca za czasów pierwszjej rewolucyi francuzkiej krzyknie: „Niech przepadną kolonie, byle pryncypia żyły!“ Na to moglibyśmy mu odrzec również ważnemi, a może więcej miłością bliźniego nacechowanemi słowami. Ale jakkolwiek bądź, fakt jest niezaprzeczony: Niemcy tyją na naszym chlebie, mieszkni swe coraz więcej wypełniają, nierównie więcej nas jeszcze obgadują i wysmiewają, a my, unosząc się nad ich zręcznością, rozumem i wielkością, obojętni jesteśmy na znaczną liczbę współrodaków naszych, niedołą z tego powodu zagrożonych.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

Są niektóre imiona tak bogate treścią, że za każdą ich wzmianką nowe uczucia i nowe myśli w duszy człowieka się budzą; do takich należy imię Grecyi. W jakiegokolwiek gałęzi sztuki, w jakiegokolwiek okolicznościach lub usposobieniu umysłowem wspomnisz to imię, nigdy ono napróżno nie uderzy twego ucha. Doskonała piękność, niczem nie zmacona harmonia co zeń wieje, uspokaja boleści i troski rzeczywistego życia, wskazując nam źródło niewyczerpanych roskoszy poezyi, mającej w sobie podwójną siłę, nauki i szczęścia. Do takich wspomnień, będących odblyskiem wiekuiestj prawdy, należy co do pomysłu ostatni obraz p. Gersona, przedstawiający Homera.

Poeta, osłonięty poważną i pełną prostoty drapeiryą, ze zwieszoną lutnią u boku, kroczy zwolna drogą, wsparty na ramieniu młodzieńca, który tęskny wzrok swój zwrócił na sędziwe starca oblicze, pełne spokoju i głębokiej powagi. Zdała widać ruch ludzi, zajętych wyładowywaniem towarów przywiezionych okrętami z pobrzeżów Azji, z Syryi, z Rhodos, które przy schyłku świetności Grecyi, dostarczały jej mieszkańcom rozlicznych przedmiotów zbytku i próżności. To też Homer odwrócił oblicze od tego zgiełku i giestem znaczącym skazuje go na zapomnienie. Artysta zestawił z sobą te dwie różne i oddzielone od siebie czasem chwile życia Grecyi, jakoby na przestroge dzisiejszemu pokoleniu. Cóż może być wymowniejszego nad pomysł tego obrazu, który zamknąć można w następujących słowach: gdzie żądza zbytku zamieszka, poezya ostać się nie może. Rysunek figur poprawny i wdzięczny, koloryt łagodny i spokojny, nadaje całej tej kompozycyi niezwykle powab; szkoda tylko że tło, nazbyt szczupłe rozmiarem, nie tylko że nie dozwala figurom odetchnąć swobodnie tém spokojnym, szafirowym powietrzem, ale jeszcze przeszkadza uwydatnieniu się wyżej wspomnianej myśli, która powinna była jasno wyglądać z obrazu.

Pan Straszynski znany nam był dotąd na wystawie z akwarelli i rysunków; obecnie przysłał dwa większe obrazy olejne: jeden historyczny, drugi rodzajowy. Pierwszy przedstawia pojednanie Kmity wojewody krakowskiego z Zygmuntem Augustem królem polskim; drugi Stanisława Augusta w pracowni Bacciarellego.

Widzimy że p. Straszynski pragnie zająć miejsce między historycznymi malarzami, zobaczymy więc jak i o ile ten cel osiąga. Pierwszego obrazu układ jest następujący: w starożytniej komnacie, ozdobionej obrazami, stoi król Zygmunt z małżonką swoją; wesołe jego oblicze zwraca się ku Kmicie, który z pochyłą głową, z wyrazem głębokiego poddania się, przeprosza króla za wyrządzoną mu przykrość, żądaniem zerwania ślubów z małżonką jego Barbarą Radziwiłłówną. Po lewej stronie bogato przybrana matrona, zapewne żona Kmity, przykleknawszy całuje w rękę królowę, błagając o przebaczenie. Na pierwsze wejście scena ta imponuje bogactwem strojów i doskonałością wykonania; wszystko tu znajdujemy, co tylko może stanowić interes zewnętrzny; zadziwione oko nie wie której z tych bogatych, złotem tkanych materij i ciężkich aksamitów oddać pierwszeństwo, bo też w istocie, prawda i wykończenie draperij przypomina sławnych holenderskich mistrzów. Po chwili jednak, zawstydzony własnym roztargnieniem, zapytujemy siebie, czy godziło się tak dać się pociągnąć barwą i strojem, patrząc na obraz historyczny? Zapewne że nie. Patrzymy więc w pokorze na historię. Zygmunt August, z wyrazem pretensjonalnego uśmiechu, z gestem eleganta z czasów Stanisława Augusta, zwraca się do Kmity, jakby dowcipnym komplimentem pragnął mu okazać swoją powolność i przebaczenie. Zdaje nam się że inny charakter przystoi temu, który na sejmie piotrkowskim, w przytomności panów polskich błagających ażeby rozwiódł się z małżonką swoją, wyrzekł te pamiętne słowa: „Co się stało, odstać się nie może; a wam przystało nie o to mnie prosić, iżbym żonie wiarę złamał, lecz o to, iżbym ją każdemu człowiekowi zachował. Przysięgam mojej żonie, tej nie odstąpię, póki mnie Pan Bóg na świecie zachowa, a miłsza mi jest wiara moja, niż wszystkie królestwa na świecie.“

Trzeba przyznać że Barbara, pojęta przez p. Stra-

szynskiego, ma wiele wspólnego z królem i żadna tu dysharmonia nie razi, bo nie zdobi jej ani piękność, ani wyraz przeświełający szlachetnością umysłu, które to przymioty przyznaje jej historia. Kmita, który w tym obrazie drugorzędną stanowi figurę, najlepší jest pojęty, jeżeli nie jako postać historyczna, to przynajmniej jako figura.

Z uwag jakieśmy tu czynili wypada, że p. Straszynski, władając znakomicie wszystkimi zewnętrznymi środkami sztuki, w obrazie historycznym pominał zupełnie historię i przegladając z niej duchowe piękno. Czyliż zawsze w pracach artystycznych, również jak w działaniach ludzkich, ma panować taka rażąca dysharmonia myśli i czynu? Wątpimy — jestto tylko dowodem niemocy naszej, która, spodziewać się należy, przy wyższem zgłębieniu zasad sztuki i życia z czasem się usunie.

Spójrzmy teraz na drugi obraz p. Straszynskiego. W pośrodku pięknego pokoju, przybranego w stylu rokoko, siedzi Bacciarelli z paletą w ręku; przed nim stoi płótno na stalugach; w głębi na wzniesieniu widać kobietę w wdzięcznej postawie, służącą malarzowi za model do obrazu Diany. Nastąpiła chwila milczenia. Król wszedł niepostrzeżony, i ukrywając się za parawan, przymrużonem okiem patrzy na modelistkę. Kobieta siedząca przy Bacciarellim z uśmiechniętą twarzą, daje ręką tajemniczy znak malarzowi, że król przybył. Cała ta scena mimiczna niezwykle ma interes, a w kompozycyi przebija wyborna i właściwa owemu czasowi kokieteria. Stanisław August jest tu, rzecz można, pochwycony na uczynku, z całą prawdą charakteru; kobieta porozumiewająca się gestem i wyrazem fizjognomii z malarzem, niemniej trafnie oddana; zarzucilibyśmy tylko wyrazowi twarzy Bacciarellego, że ma w sobie pewien niemły przymus, zakłócający akcyę.

Przystępując do zalet wykonania, zostaje nam tylko uwielbienie, tak tu ściśle łączy się wszystko: siła kolorytu, światło, ciepło, miękkość i złudzenie, a atłasy i aksamity przypominają pędzel Mierisa lub Gerarda Dowa.

Porównanie tych dwóch obrazów wypada na korzyść ostatniego. Widać że rodzaj obyczajowy właściwy jest talentowi p. Straszynskiego; radzibyśmy tylko ażeby w wyborze przedmiotów przewodniczyło mu wyższe i delikatniejsze poczucie potrzeb i obyczaju narodu.

Przyjemny krajobraz p. Schouppé, przedstawiający widok Pragi wzięty z Foksalu, ma wiele zalet artystycznych. Na dalekim planie w oświetleniu słonecznym rysują się różnorodne grupy dworków, ocienione drzewami, u podnóża których przesuwają się szara Wisła; gdzieś tam berlinki spoczywają na kotwicy. Wiele w tym wszystkiem prawdy i miejscowego wyrazu; wolimy jednak inne, poetyczniejsze widoki tego artysty, bo jakoś miłej patrzeć na obrazy w których natura w świętejszej szacie występuje, niż na takie gdzie otacza codzienne nasze kłopotliwe zabiegi.

Sprzedaz lasu p. Kostrzewskiego układem swoim zajmuje na pierwszy rzut oka. Scena odbywa się na brzegu lasu; na ściętej sośnie siedzi młodzieniec, z ogorzałą twarzą, w słomianym kapeluszu i obojętnie pali cygaro; z boku stoi faktor i z komiczną uniożonością przedstawia korzyści sprzedaży, sam zaś nabywca, z wyrazem dumy bankierskiej, rozgląda się po lesie, udając że go to wszystko mało obchodzi. Tymczasem stary gajowy, z sumiastym, siwym wąsem, w zielonej kapocie, stoi posmutniały, i zdaje się że myśli: Co też to się robi na świecie — coby to nieboszczyk pan powiedział na to — co po starym gajowym bez lasu? Zdaleka widać biędę żydowską i ludzi ścinających drzewa, a całą tę scenę oświeca słońce, zawsze wesołe i jasne dla wszystkich. Trudno nie przyznać temu obrazowi niezwykłych zalet kompozycyi i charakterystyki; prawda wyrazu figur wyborna, a osobiwie też kupiec żydowski i faktor mają coś tak typowego, że mogą służyć za wzór do podobnego rodzaju indywiduów. Gajowy, jako jedyna figura moralna w całej tej scenie, pojęty doskonale, z całą poczciwą rubasznoscą; jest on uosobieniem starego sługi, którego życie zrosło się z dobrem pana. Pomysł ten p. Kostrzewskiego policzamy do najszcześniejszych, tak pod względem myśli ogólnej, jako i przeciwstawienia charakterów. Komika tej kompozycyi jest prawdziwie wyższą i doskonale jednoczy w sobie sprzeczne żywioły dzisiejszego obyczaju. Dla

takich zalet łatwo nam pominąć usterki wykonania trochę za pobieżnego, które razi szczególnie w miasach drzew stanowiących zagłębienie lasu.

Pałac łązienkowski p. Marka ukazuje się w głębi szpaleru drzew, oceniających staw przezroczyści i spokojny. Cały pierwszy plan tego obrazu utrzymany w cieniu, uwydatnia kobietę płynącą na łodzi w ustroni pięknej gaju. Jest to krajobraz przyjemnego efektu; zarzucilibyśmy tylko zbyt dużą jednorodność zieleności drzew i za drobniogowe traktowanie liści.

Portret damy w czarnej sukni pana Jasińskiego, o wiele przewyższa wykonaniem dawniejsze jego prace. Głowa szczególnie starannie jest wystudowana, a jeżeli w całości daje się czuć brak należytej harmonii, to przy wzrastających usiłowaniu jakie w nim dostrzegamy, artysta i tę trudność wkrótce zapewne pokonać potrafi.

Ustęp z listu Antoniego Nowosielskiego.

Nieraz zdarza się, że literatowi mieszkającemu na wsi mówią znajomi jego: Jak możesz mieszkać tu? Jedź do miasta, tam inne wcale życie umysłowe, tam ruch, postęp, tam wymiana myśli wzajemna; tu nic z tego, a nuda i nuda bez końca. Cóż jest miłszego nad gawędkę literacką? a tego tu nie dostaniesz.... Tak mówią wszyscy; zapewne że musi w tym być wiele prawdy, ale też i to jest prawdą niezaprzeczoną, że nic nudniejszego nieraz nad owe literackie niby gawędki. Niema tak dzikięj myśli, z którąbyś się tu nie spotkał. Ci co nic sami nie piszą, ganią i lekceważą wszystko, pomiatają zasługą i imieniem ludzi znakomitych.

Oto dla przykładu wypiszę tu kilka takich aforyzmów literackich, rzucanych nawiasowo, ale z wielką pewnością przez ludzi, mających w towarzystwie opinią *oczytanych*. Nazywam to aforyzmami, bo nikt z tych panów nie poczuwa się wcale do obowiązku rozwinięcia i udowodnienia faktami tego co utrzymuje.

Jednego razu wszedł do mnie pewien mój znajomy. Uzbrowiwszy oko szkiełkiem i oparłszy się na ławę, patrzył z pewnym rodzajem lekceważenia na książki spoczywające po półkach mego gabinetu. Chwiał głową na prawo i na lewo, syczał ustami, świślał nawet, przyglądał się, wruszał ramionami, to śmiał się wzgardliwie i patrzył dalej; aż nareszcie mnie, właścicielowi zdziwionemu tych książek, takie zadał pytanie:

— Powiedz mi, na co ci to wszystko?

— Jakto?

— Tak, na co ci tyle książek i francuzkich, i niemieckich, i angielskich, w tylu rozmaitych przedmiotach? Widzę nawet klasyków łacińskich, tych co to każą tłumaczyć w szkołach, słowo honoru tych samych! Powiedz mi, na co to się przydało tobie?

Patrzyłem zdziwiony w oczy temu panu, który obróciwszy się do mnie, spoglądał teraz tak samo na właściciela książek, jak przed chwilą na książki jego.

— Wszystko to rzecz niepotrzebna dla nas; próżno zabija głowę i kieruje na kosmopolitów. Czytajmy dzieła swoje....

— Ależ ja mam prawie wszystko co wychodzi u nas. Patrz na tamtą ścianę; same książki polskie....

— Dobrze, dobrze, niech będzie tak. Ale powiedz mi do czegoż te Szekspiry, Bajrony, Szyltery, Scotty, Dickensy, Thakeraye? Jakież potem dzieła uczone, pedanckie.... I znowu mierzył jegomość ów, okiem osobliwej wyższości, mój nieszczęśliwy księgozbiorek. U mnie tego niema, nie trzymam nic podobnego; mam *Bibliotekę polską* Turowskiego....

— I ja ją mam....

— Dobrze, ale pocóż to wszystko, poco te Szyltery? Jak zobaczę tylko gdzie imię Szyltera, zaraz rzucam książkę....

— Tak nie lubisz tego poety?

— A za cóż mam go lubić? To nie nasza rzecz, to rzecz Niemców.

Zasapał się mój tłuszcioch, upadł na sofę i pykał cygaro.

— I ty bratku popisałeś się także pięknie; wziąłeś się do tłumaczeń, jak słyszałem, przetłumaczy-

łeś kazania jakieś, Lakordera zdaje się, i jeszcze żywot Goethego, historią jego utworów... A to piękna rzecz! Żywot i historia utworów Goethego! Ciekawy jestem bardzo na co nam jedno i drugie. A Mickiewicza biografii nie mamy, Krasińskiego nie mamy.... i czyjże to jeszcze nie mamy? O wielu, wielu bardzo....

Palił cygaro i sapał.

— Wszak jedno drugiemu nie przeszkadza. Ja nie miałem żadnych materyałów do biografii ani Mickiewicza, ani Krasińskiego, więc nie mogłem myśleć o pisaniu ich życia, a przeczytawszy piękne dzieło Lewesa o Goethem....

— Piękne dzieło? dlaczegoż piękne?

— Bo maluje wybornie postać Goethego, bo wystawia doskonale całą społeczność niemiecką w jego czasach, rysuje mnóstwo innych ludzi, otaczających główną postać autora Fausta....

— Autora Fausta, to wyborne!

— Oprócz tego daje gruntowne rozbiory dzieł poety, pokazuje z czego one powstały, co rzuciło do duszy jego pierwszy ich zaród, jak ziarno wzrastało w niej, rozwijało się, jak wreszcie myśl, dojrzawszy, wywijała się na zewnątrz i przybierała na się formę plastyczną.

— Ale co to nas może obchodzić?

— W obszernym ustępie Lewes wskazuje znaczenie Goethego w dziejach nauki XIX wieku; bo wiész może iż ten poeta był także samodzielnym mineralogiem, zoologiem, anatomem....

— Cóż nam do tego? pytam. Był tém wszystkiem, to dobrze, ale powtarzam, to nie nasza rzecz.

— Powiedz lepiej, że Goethe był panteistą, rzekłem, to zarzut ten będzie słuszny, i właśnie ja, tłumacząc dzieło Lewesa, zwracałem na to uwagę i prostowałem jego zdanie....

— No, no, daj pokój! Nie popisałeś się i koniec....A Szajnochy dzieła masz?

— A mam. Cóż mówisz o nim?

— Już go teraz można czytać, dawniej było niepodobna: zarzucał erudycją, cytacyami, kronikami temi i owemi, tak jak to Czacki robił niegdyś, jak Maciejowski teraz. Chcesz pisać o Polakach, pisz, a daj tym kronikom obcym pokój. Albo Bartoszewicz... dobrze o nim powiedział Wielopolski, że w ryłcu jego mól siedzi, co wszystko przegryza czego się dotknie. Nie, niewarto czytać nowych naszych pisarzy...

— Cóż więc czytasz? powiedz mi, zmiłuj się!

— Alboż mało mamy do czytania w naszej literaturze dawniej? Ja czytam z roskoszą pisarzy z czasów saskich; wyborne rzeczy! Ile tam barwy narodowej, ile animuszu, ile życia! Wieki XVII i XVIII wystawiano nam zwykle jako okres upadku piśmiennictwa naszego; ja mam je owszem za wyższe szczeble rozwoju. Wiek XVI z Kochanowskim zapewne był piękną dobą literatury naszej, ale był to okres liryzmu; myśl polska jeszcze się była niewyklarowała, ulegała wpływom różnowierców. Wieki XVII i XVIII rozwijają inne rodzaje, rodzaje wyższe poezji: występują tu epos, dramat....

— Dramat? jaki mianowicie?

— O! musiały być dramata, chociaż do nas nie doszły; wreszcie mogą jeszcze zostać odkryte, jak odkryto dziś śliczne rzeczy Kochowskiego. Epos mamy w wojnie chocimskiej Lipskiego czy Potockiego. Ja lubię epokę saską.

— Dajże pokój! nie dziwacz! Istotnie, pomimo słabości swojej, piśmiennictwo XVII i nawet początku XVIII wieku miało rzeczy piękne; wojna chocimska, Kochowskiego utwory, Pasek, są to rzeczy wysokiej wartości; poezja była w obyczajach, w żywocie narodowym, to prawda; ale widzieć tu postęp literatury niepodobna. Piśmiennictwo upadało i potrzeba je było podnieść wprowadzeniem nowego pierwiastku, jaki już był ożywił literatury obce, zwracając je do żywiołów rodowych, do najskrytszych głębin ducha, do intuicji i mistycyzmu nawet, bo im głębiej sięgniemy w ducha naszego, tém większą przejmujemy się czcią tajemniczą dla stworcy wszech rzeczy. Niemcy wpadli z tego powodu w panteizm; Bajron, nie mogąc pogodzić myśli z realizmem, w ironią i sceptycyzm; my zwróciliśmy się ku źródłom mistyki katolickiej. Widzisz teraz na co się przyda znać Goethego, Szyltera, Bajrona: oto na to, aby się rozpartrzeć w dziejach ducha, we filozofii piśmiennictwa.

Toż samo dzieje się i z historią. Dziś niepodobna pisać bez krytyki, a krytyka wymaga porównania źródeł dziejowych rozmaitych ludów. Narody mieszały się z sobą, wyobrażenia ich wpływały na siebie wzajemnie; pisano kroniki, kształcając się na wzorach obcych, pożyczając nieraz fakta i błędy od pisarzy zagranicznych; wiele więc rzeczy zostałoby na zawsze ciemnym hieroglifem, gdyby porównanie ich ze źródłami obcemi nie wyjaśniło nam że były przyswojone, albo sięgają prastarego źródła pochodzenia wspólnego ludów do jednego należącego szczepu. Nie traktuj więc, bracie, tak lekko Szajnochy, bo może on błędzić w wywodach swoich i błędzi niezawodnie w *Lechickim początku Polski*; ale żeby wykazać błąd jego, na to właśnie potrzeba krytyki, opartej na obszernym czytaniu i znajomości źródłowej dziejów i prawodawstwa powszechnego. Porównanie nawet mowy, zwyczajów, bajek i zabobonów ludów europejskich wiele tu objaśnić może. Jednym słowem lepiej jest więcej umieć, niż mniej umieć; im szersze jest koło wiedzy naszej, im głębiej sięgamy w grunt rzeczy, tém jaśniej ją możemy wyrozumić. Zły to znak, kiedy zaczynają bać się erudycji, czytania, bo widać że myśl, zostawiona sobie, zdziczała, że za słabą jest nato aby się mogła posunąć ku szlakom ubitym przez naukę....

— Unosisz się, zawołał gość mój po chwili milczenia.... Więc i Bartoszewicza będziesz bronil?

— Będę, bo warto; on pracuje, poświęca się zmuśnionym badaniom, wie więcej o przeszłości niż każdy z nas, a my mielibyśmy robić mu zarzuty? Zauważano wprawdzie, że pomiędzy jego znakomitymi mężami znajdują się ludzie wcale niewarci pamięci, ale czyż tyle jego badań i prac w dziedzinie dziejów podjętych mogą być zapomnianymi? Czyż jego nauka ogromna, poczerpnięta w większej części z rękopisów, nie rzuciła wiele światła na historyczne zagadnienia? Szkoda że nie skupi w jedno ognisko wiadomości swoich, że nieda nam np. historii cywilizacji w Polsce; ale jego dzieje piśmiennictwa polskiego, będące już pod prasą, będą zapewne wybornym dziełem, bo on umie malować ludzi i czasy ubiegłe kraju naszego.

— Nie wiem, zobaczymy, zobaczymy, mówił mój znajomy, podciągając z powagą do góry kołnierzyki od koszuli.

— Mówisz że się unoszę, a możnaż być zimnym, kiedy dla zabawki szkalują czasami najpiękniejsze przedsięwzięcia? jak nieraz mi się zdarzało słyszeć o wydawnictwie (żytomirskim) tanich książek, które dziś postanowiło pojedynczo przykładać się do wydawania dzieł pożytecznych a tanich. Daj Boże, aby się im to powiodło, równie jak i wydawcom *Voluminów legum* i *Biblioteki polskiej*.

— Amen! zawołał interlokutor mój z powagą.

— Zapewne, bo spodziewam się od wydawnictwa dzieł pięknych, jak np. *Opowiadania o Janie III Szajnochy*, jak *Historja powiatu kijowskiego i miasta Kijowa* Edwarda Rulikowskiego, pisarza znającego wybornie przeszłość Ukrainy, historią rodzin i osad kraju tego, i umiającego z talentem korzystać ze źródeł rękopiśmiennych, jakie sam sobie podkrywał po archiwach prywatnych. Znamy zajmujące ustępy pracy jego z dodatków Bartoszewicza do *Pamiętek historycznych Święckiego*, mianowicie w tém co się tyczy rodzin ukraińskich: Tyczów, Rościszewskich, Jerliczów, Tetery i t. d. Wiele tam rzeczy napisanych tak, iż zdają się być ciekawą powieścią wymysłu poety, a jest to tylko żywot rzeczywisty szlachty ukraińskiej.

— Zgoda, *mea culpa!* Ale dajmy już temu pokój; oddaliśmy się od rzeczy.

— Dobrze, wszak nie sam rozpoczynałem tę odgadanę osobliwą.

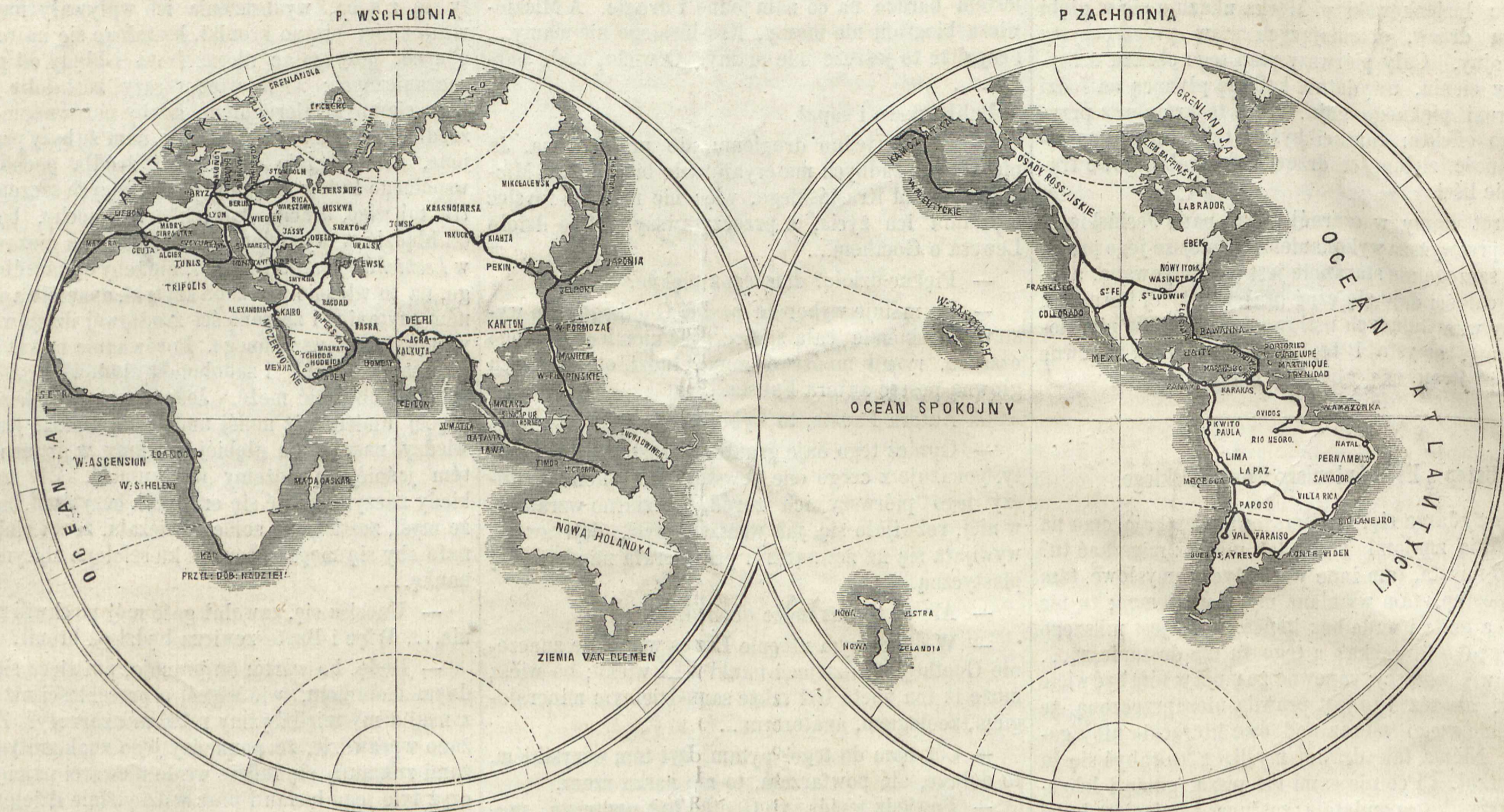
TELEGRAF NAKOŁO ŚWIATA.

W ostatnich czasach ponowiono znów projekt telegrafu elektrycznego, mającego okrążyć całą kulę ziemską, tak aby wszystkie istniejące już linie zostały z sobą połączone. Sposób wykonania tego olbrzymiego pomysłu, przedstawia załączona tu w drzeworycie mapka. Podług niej punkt zetknięcia się linii azjatyckich z europejskimi byłby w Saratowie, z kąd jedna linia szłaby na Tyflis, druga przez Tomsk do Irkucka i Kiachty. Z Kiachty zrobionoby odnogi z je-

dnęj strony do Pekinu, z drugiej przez kraj nadamur-
ski i wyspę Tarakaj do Japonii i Ameryki rosyjskiej.
Ztamtąd, wzdłuż pobrzeża Nowego Hanoweru i No-

spom oceanu Spokojnego. Od wyspy Formosy zwró-
ciłby się przez Filipiny i Moluki na Wiktoriją w Au-
stralii. Inne gałęzie wielkiej téj komunikacji były-

Czy obliczenia te w praktyce okażą się prawdziwe-
mi i czy ogromne to przedsięwzięcie przyjdzie kiedy
do skutku, niepodobna dziś przewidzieć. Tyle tylko



MAPPA TELEGRAFU NAOKOŁO ZIEMI.

węj Georgii, osiągnięto by połączenie z siecią telegra-
ficzną Stanów Zjednoczonych. Nadto z Japonii tele-
graf szedłby przez Chiny i Indye Wschodnie, ku wy-

by następujące: od Wiktorji, wzdłuż gromady wysp
Sunda, do Singapore i Kalkuty; od brzegów Indu do
Maskatu, a ztamtąd do Aden i Suez, do Aleppo i Kon-
stantynopola; z Gibraltaru do Ceuty; z Sycylii do Tun-
nis; z Tunisu do Algieru, na wyspy kanaryjskie i wzdłuż
zachodniego brzegu Afryki do przylądka Dobrzej na-
dziei. Połączenie sieci południowo - amerykańskich
z północno - amerykańskimi miałyby miejsce drogą
podwójną: telegrafem powietrznym przez Amerykę
do Meksyku, i podwodnym przez Antylle do Florydy.

pewna, że pod niejednym względem byłoby ono pra-
wdziwym dobrodziejstwem dla ludzkości i wielkim
krokiem naprzód na drodze zbratania się narodów.

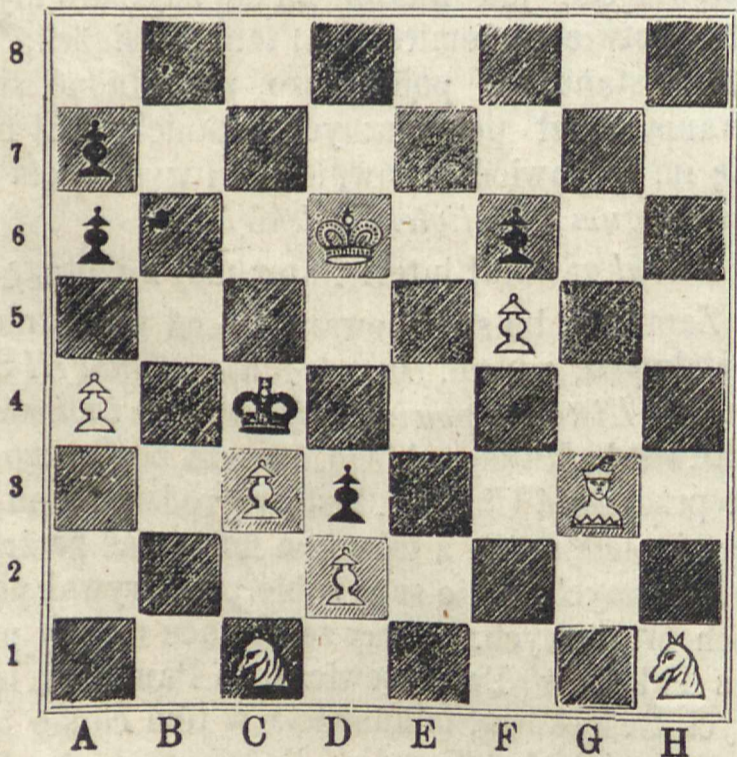
SZACHY.

ZADANIE XXIX

(S. B. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata pionem D2 za
czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 28.

Białe.

Czarne.

- 1) E3 - F5 1) G5 - G3+
- 2) F5 - G3 bierze + 2) H8 - H5 bierze, lub F6 - F5.
- 3) C1 - F4+ 3) E5 - D5
- 4) G8 - E7+ i mat.

Odmiana.

- 1) E3 - F5 1) E6 - F5 bierze.
- 2) H5 - E2+ 2) E5 - D6
- 3) E2 - E7+ 3) D6 - C7 lub C6
- 4) C4 - C5+ i mat.

Gdyby w téj odmianie król czarny, po drugim posunięciu białych, po-
szedł na D5, to:

- 3) G8 - E7+ 3) D5 - D6
- 4) C1 - F4+ i mat.

W koncówce téj czarne koniecznie powinny brać konia białego rozpoczyna-
jącego grę, lub szachować przeciwnika, gdyż inaczej wieża biała w drugim
posunięciu daje mata, bijąc pieszka C5. Biorąc zaś tegoż konia krótem albo
wieżą, dostają mata w trzecim posunięciu, sposobem którego tu, dla braku
miejsca, nie wypisujemy.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 40.

Co drugiemu dasz, tego sam nie masz.

Możliwe procentowanie się tego olbrzymiego przed-
sięwzięcia obliczono jak następuje. Milla telegrafu po-
wietrznego kosztować ma złp. 12,000, podwodnego
40,000. Mil lądowych byłoby ogółem 9,336, wodnych
4,993; zatem pierwsze kosztowałyby złp. 112,032,000,
drugie złp. 199,720,000, czyli razem 311,752,000.
Doliczywszy do tego kosztu stacyj telegraficznych, dom-
ków dla służby i t. p., wypadnie koszt ogólny około
złp. 386,000,000. Pięć procent od téj summy czyni
złp. 19,300,000, do czego dodawszy: pensye dyrekto-
rów, telegrafistów, służby, zużycie materyału i t. p.
około złp. 80,500,000, wydatek roczny wyniesie
w okrągłej summie złp. 100,000,000.

Zobaczmy teraz jakiego spodziewać się można
dochodu. Przypuściwszy że można telegrafować 300
wyrazów na godzinę, że aparaty czynne będą przez
10 godzin dziennie na czterech drutach i że opłata
od wyrazu na milę wyniesie tylko 0,06 grosza (ce-
na niższa od praktykowanej obecnie na liniach euro-
pejskich), osiągnięto by dochód około 120,000,000
złp., czyli po zupełnym pokryciu wydatków, 20% zy-
sku. Podług téj taryfy depesza złożona z 20 wyrazów
kosztowałaby: z Saratowa do Nowego Yorku złp. 120,
z Konstantynopola do Kantonu 96, z Gibraltaru do
przylądka Dobrzej nadziei 68 i t. d.

W końcu przytaczamy jeszcze, jako ciekawość, ile,
według przypuszczalnego obliczenia, zużytkowanoby
różnorodnych materyałów na wykonanie i utrzymanie
telegrafu naokoło świata. I tak wyszłoby: 500,000
centnarów drutu żelaznego, 10,000 centnarów drutu
cienkiego do wiązania; 10 millionów sztuk podpór
odosabiających; 30,000 centnarów drutu miedzia-
nego; po 100,000 centnarów guttaperchy, smoły i ko-
nopi; 300,000 centnarów drutu żelaznego na okręca-
nie lin podwodnych. Nareszcie potrzebaby jeszcze:
29,000 przyrządów znaczących Morse'go, 24,000 ba-
teryj galwanicznych, 36,000 bussol, 100,000 kon-
duktorów i t. p.

REBUS.

